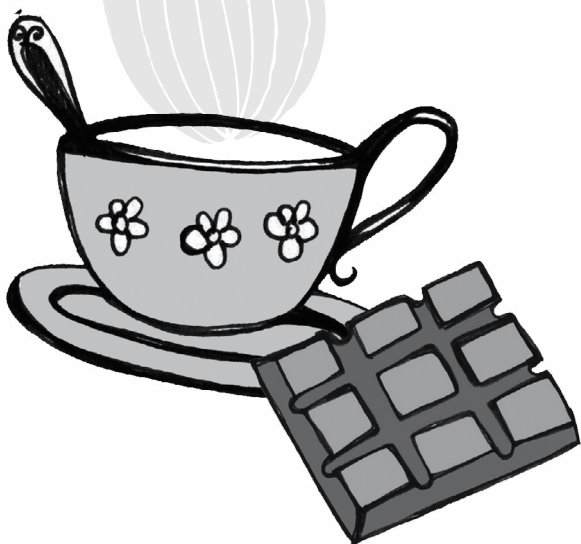


CZEKOLADA Z CHILI

Joanna Jagiello



Joanna Jagiełło
Czekolada z chili

© by Joanna Jagiełło
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Olga Reszelska

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-509-3

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wyd-literatura.com.pl

*A może miłość nie musi być jak czekolada mleczna.
Może miłość jest jak czekolada z chili.*

Moim córkom – Julce i Basi

PROLOG

W nocy wiał wiatr. Podrzucił z drzew przy sąsiedniej posesji czerwone i żółte liście, które upstrzyły huśtawkę niczym barwne kleksy.

Zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otwierał. Postanowiła poczekać w ogrodzie, choć dobrze wiedziała, gdzie jest klucz. Huśtawka była mokra. Odkleiła od niej jeden liść i spojrzała na niego pod światło. Wprawdzie słońce ledwo przebijało się przez chmury, ale było wystarczająco silne, żeby podświetlone żyłki zaczęły jej przypominać a to sieć dróg, a to układ krwionośny, a to cały wszechświat. Rozbijała huśtawkę, może to uspokoi bicie serca i pozwoli zmierzyć się z tym, co przecież miało nadejść, a na co – już teraz – nie miała żadnego wpływu. Zamknęła oczy, pozwalając ponieść się rytmowi. W górę i w dół, w górę i w dół. Raptem na jej twarz padł cień i prawie krzyknęła z przestraszu, ale to przecież był on, jego kochana twarz, która tuliła się miękko do jej policzka. I już ten niesłyszalny krzyk dusił w zarodku, całując ją w same usta, zamykając w uścisku wraz ze sznurami huśtawki i liściem, który nadal gniotła w dłoni. Dała się ponieść temu pocałunkowi, było tak, jakby całował ją w samym środku jej samej, jakby w brzuchu uwolniła się cała gromada trzmieli, a ich skrzydełka drżały w nagle gorętszym słońcu. Osuwała się wtedy na jego ramię, pozwalając się całować, pozwalając gładzić po ramieniu, lekko brązowym od słońca

i ciepłym. Wtedy, bo teraz nagle w pocałunku zaczęła czuć gorycz. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą brzęczały słodkie trzmielce, zrobiło się teraz zimno i mokro. Poczowała wyraźnie, że siedzisko huśtawki jest wilgotne od deszczu, a ona sama tak zlodowaciała w środku, jakby już zaczęła zamarzać. Zadrżała. A potem mu powiedziała. Wargi ułożyły się w słowa, których wolałaby nie wypowiadać. Stał teraz o krok od niej i odchylił się, jakby zamierzał się cofnąć. A ona nadal lekko się bujała, choć wolałaby zamarznąć, wolałaby, żeby to zimno, które czuła, zamieniło ją w bryłę lodu albo w kamień. Powoli otworzyła oczy.

– Wybaczysz mi? – zapytała.

*Ale on już odchodził, nagle taki wyprostowany, taki wyso-
ki i obcy, z liściem przyklejonym do kurtki.*

WRZESIEŃ

Folder: Wysłane

Od: adrian@priv.poczta.com

Do: linka@gmail.pl

Hali,

co tam u Ciebie? Pewnie nie możesz się doczekać nowej szkoły? Jak wrócisz z rozpoczęcia, musisz mi wszystko napisać, kto jest twoim wychowawcą, i w ogóle. Ja się trochę denerwuję, zaczynam myśleć, że może z tą zmianą szkoły to nie był dobry pomysł. Wolałbym być teraz tam, z tobą. Ech, gdyby nie to, że ciotka już wszystko załatwiła i głupio byłoby teraz zmienić zdanie... Wczoraj miałem pierwsze zajęcia z rysunku i w sumie to się załamalem. Mam wrażenie, że nie znam podstaw albo uczą tu zupełnie inaczej. W każdym razie wydaje mi się, że nic nie wiem. Może się dowiem, o ile znacznie lepiej rozumieć prowadzącego, bo to niestety Szkot. Nie to, żebym miał coś przeciwko Szkotom, ale ten akcent mnie dobija! Pozdrów wszystkich ode mnie i uważaj na siebie – nieustająco!

Buziaki, A.

* * *

Linka otworzyła oczy. Miała złe przeczucie. Przez całe wakacje nie zdarzyło jej się obudzić wcześniej niż o dziewiątej.

Trudno było wyczuć, która jest godzina, bo wczoraj zasunęła szczelnie zasłonę, żeby zrobić „klimat”, wymacała więc komórkę na stolku obok i spojrzała w ekran. Szósta! Nic dziwnego, że w domu jest tak cicho, ani że budzik jeszcze nie zadzwonił. Odsłoniła okno i spojrzała na ulubiony dach kościoła, który połyskiwał w porannym słońcu. Zapowiadał się upalny dzień, następny z serii. Linka włączyła komputer i otworzyła swoją skrzynkę mailową. Tak jak się spodziewała, czekał na nią mail od Adriana. Nie wiadomo skąd wziął się ten zwyczaj, ale odkąd Adrian wyjechał do Londynu, zawsze pisał do niej późno w nocy, a ona rano czytała. Nawet jeśli siedzieli na czacie, to i tak pisał jeszcze coś potem na gmaila. Od miesiąca właściwie codziennie.

Hali. Zabawne. Halina dla koleżanek była Linką, a Adrian od czasu, gdy byli razem, próbował jej nadawać coraz to nowe imiona, jakby jedno jej nie wystarczało. Linek, Malinka... Zaprotestowała przy Misiaczkę. Ale Hali? Nawet fajnie. Szkoda, że kojarzyło jej się to z grą, którą Kaj dostał na Dzień Dziecka. *Hali-Gali* to nie była głupia gra, uczyła liczyć na bananach i truskawkach, miała jednak wadę: do zestawu dołączony był dzwonek o upiornym dźwięku. Gdy na stole pojawiała się odpowiednia liczba owoców tego samego rodzaju, trzeba było jak najszybciej nacisnąć srebrny dzwonek, wtedy zabierało się wszystkie karty. Kaj, jako siedmiolatek, nie był jeszcze w liczeniu najlepszy, za to naciskanie dzwoneka miał opanowane do perfekcji. Energiczne „bang!” wwiercało się w jej mózg. Po każdej partyjce *Hali-Gali* przez godzinę bolała ją głowa. Dobrze chociaż, że Kaj był śpiochem i nigdy nie grał od rana. Na szczęście budziła ją cisza. A cisza jest piękna.

Linka wstała i na bosaka poszła do kuchni. Nastawiła wodę i od razu nasypała do kubka kawy rozpuszczalnej. Dodała szczyptę kardamonu. Tego nauczył ją Adrian. Co prawda on to

robił porządniej, parzył kawę w ekspresie z ziarnami kardamonu, dolewał gorącego mleka i dodawał miodu, ale ona musi się zadowolić tym, co ma. Poczowała znajome ukłucie tęsknoty. Już miesiąc się nie widzieli, ostatnio w wakacje, gdy Adrian przyjechał na jej urodziny. Myślała, że może zmieni zdanie po tym wszystkim, co się między nimi wydarzyło, ale jemu było głupio zrezygnować z wyjazdu do Londynu. Ciotka załatwiła mu szkołę oraz jakieś superlekcje rysunku i nie mógł się już wycofać. Pocieszali się, że to tylko rok. Szybko minie. Miała nawet wrażenie, że ta odległość w jakiś sposób im pomaga. Nawet Kaśka ostatnio skomentowała, że chyba częściej rozmawiali ze sobą niż ona i Michał. Żaliła się jej, że Michał ma dla niej coraz mniej czasu. Ale mimo stałego kontaktu, wiecznej wymiany maili i postów, czegoś jej brakowało. Jego uśmiechu, dotyku. A najbardziej żałowała, że teraz, gdy przez rok mogli być ze sobą w jednej szkole, jego tu nie będzie. Przechyliła kubek. Kawa, to rano lubiła najbardziej.

Drap, drap, drap – usłyszała drapanie pazurami, które ślizgały się po terakocie.

– Pewnie chcesz wyjść, Fikusku? – Podrapała psa za uchem.

– Łałłał – odpowiedział jej z psiego gardła długi gulgot. Pies, który mówi. Kiedyś obejrzała na YouTube filmik, w którym pies wydobywał z siebie dźwięki do złudzenia przypominające *I love you*. Próbowowała nauczyć Fikusa, ale nic z tego. Łałłał. Tylko tyle, a może aż tyle.

– Daj mi się ubrać, Fikusku, przecież tak nie pójde. – Spojrzała na sprany T-shirt i stare legginsy. Dobrze, że chociaż strój na dzisiaj sobie przygotowała, zamiast, jak co roku, szukać w popłochu czegoś, co w takim szczególnym dniu mogłaby na siebie włożyć. Przecież nie pójdzie na rozpoczęcie roku w pierwszej klasie liceum w plisowanej spódniczce, która pa-

miętała jeszcze podstawówkę. Linka rosła tylko wzwyż, obwód pasa właściwie od dawna jej się nie zmieniał, ale przymierzając spódnicę, zdała sobie sprawę, że nie tylko stylem jakoś nie pasuje już do liceum, ale zrobiła się z niej taka miniówka, że już pierwszego dnia za ten niezbyt stosowny ubiór mogliby ją wyrzucić ze szkoły. Nawet jeśli to szkoła artystyczna. Zdecydowała się na czarne rurki i białą bluzkę.

W sumie to stresowała się trochę tym wszystkim. Po pierwsze – bała się, że będą tam bogate dzieciaki, poubierane w Lacosty, a nie w jakieś tam H&M-y. Wprawdzie Adrian mówił jej, żeby się tym nie przejmowała, bo wbrew temu, co się sądzi, w szkołach prywatnych czy społecznych wcale nie ma takiej pogoni za marką jak w zwykłych, bo tu nikt nikomu ciuchem nie musi niczego udowadniać. Ale Adrian to chłopak, może nie zwracać na takie rzeczy uwagi. No i przecież nie zna jej przyszłej klasy. Po drugie – część uczniów na pewno znała się już z gimnazjum, które mieściło się w tym samym budynku. Adrian uprzedził ją, że w tej szkole było im tak dobrze, że po gimnazjum większość chciała zostać. A klasy gimnazjalne już były sprofilowane artystycznie – nic dziwnego, że potem dzieciaki raczej nie chciały myśleć o normalnej szkole. Ale to oznaczało, że Linka prawdopodobnie będzie miała status „nowej”. Czy ją polubią? Po trzecie... No właśnie, trzecie było najgorsze. Kasa. A raczej jej brak.

Chodziła teraz z psem dookoła klombu, patrzyła na przechodzących ludzi i zastanawiała się, jak zarobić pół czesnego na szkołę. Z drugiej połowy była zwolniona, bo dostała wyróżnienie w konkursie fotograficznym. Mama zapłaciła niemałe wpisowe, opłaciła też pierwszy miesiąc, a potem przeprowadziła z nią rozmowę, z której niezbitnie wynikało, że Linka musi się wziąć za robotę i te pięć stów miesięcznie gdzieś zarobić. Rozumiała to: po odjęciu kredytu i wszystkich opłat ledwo zostawa-

ło na życie. Nie było nadwyżki, którą można by zużyć na taką fanaberię jak szkoła prywatna.

– Halinka! – usłyszała głos sąsiada z bloku obok, który, przykuty do wózka, zwykł przyglądać się ludziom z okna od rana do wieczora. – Do szkoły się nie spieszysz? Dziś początek roku!

– Tak, panie Michałku – odpowiedziała – ale idę dopiero na dziesiątą. Obudziłam się za wcześnie, a pies to wykorzystał!

– Która to klasa? – zapytał.

Na parapecie postawił śniadanie. Rozmawiając z Linką, zaczął parówkę w musztardzie i zagryzał chlebem. Linka pomyślała, że to okno to cały jego świat. Współczuła mu. Czasem jakaś pani z opieki wyjdzie z nim na spacer i tyle, bo nie ma nikogo bliskiego. Nie dość, że nogi ma niesprawne, to ręce jakies takie pokurczone, pewnie nie dałby rady sam na wózku nawet wyjechać z domu. Dobrze chociaż, że herbatę może sobie zrobić i parówkę ugotować...

– Pierwsza...

– Gimnazjum?

– Nie! – roześmiała się. – Oczywiście, że nie! Liceum.

– O! To panna już z ciebie! Pewnie do jakiegoś dobrego liceum się dostałaś, no, pochwal się!

– Do społecznego, do klasy fotograficznej.

– Ho, ho! To teraz takie klasy są? Ale to pewnie drogo, jak społeczne? Mama dostała podwyżkę chyba? Bo już ten twój tata nie tata to z wami nie mieszka, co? A może to z alimentów?

Miała dość. Mimo sympatii i współczucia za każdym razem od wścibstwa pana Michałka przewracały jej się flaki w brzuchu. Taki to wie wszystko o wszystkich i zaraz wyciąga wnioski. Znalazł się Sherlock. Na szczęście pies pociągnął ją w stronę na pewno wyjątkowo aromatycznego skwerku, więc burknęła coś tylko pod nosem i pognęła za Fikusem.

Nawet jeśli udało jej się uciec od pana Michałka, nie rozwiązywało to jej problemów, a właściwie jednego. Musiała znaleźć pracę. Oczywiście nie teraz. Teraz trzeba obudzić mamę, bo z szóstej nie wiadomo kiedy zrobiła się siódma, a przecież nie tylko ona ma dziś rozpoczęcie roku, ale i Kaj! Jej mały braci-szek idzie do szkoły! Pociągnęła psa w stronę domu.

– Łałłłłł – zamarudził Fikus.

Mama krążyła już między kuchnią a łazienką, w pośpiechu naciągała na nogi rajstopy, wyjmowała z lodówki mleko, z szafki płatki i pokrzykiwała na syna, który leżał na brzuchu w poprzek łóżka z poduszką naciągniętą na głowę.

– Daj mi jakiś tusz! – krzyknęła do Linki. – Nie mogę znaleźć swojego!

Co ona się tak stroi? – przemknęło Lince przez głowę. – Ma zamiar szukać sobie nowego męża wśród rodziców pierwszoklasistów? Denerwuje się tak, jakby sama szła do nowej szkoły.

Przyczyna starannych przygotowań właśnie nacisnęła guzik domofonu.

– A to kto? – spytała Linka.

– Adam. – Mama wyraźnie się zaczerwieniła. – Postanowiliśmy, że razem odprowadzimy Kazika, w końcu to pierwszy dzień w szkole.

No tak. Pan Michałek będzie miał znów powód do rozmyślań. Adam, jej tata nie tata, jak to ładnie ujął sąsiad, ale zdecydowanie Tata Kaja, taki przez duże „T”, stał w drzwiach i pochrząkiwał ze zdenerwowania.

– Cześć! – rzucił do Linki i pocałował ją w policzek.

Poczuła się dziwnie, jakby nagle przyjechał jakiś wujek, a nie ktoś, z kim przecież mieszkała przez prawie dziesięć lat.

Stał w drzwiach, nie do końca uczesany, z nie całkiem równo zapiętą koszulą, nie do końca wyspany, przystojny jak zawsze. Już nieudomowiony. Obcy.

– Cześć. – Wzruszyła ramionami, no bo co mogła zrobić innego.

Oczywiście, że Kaj cierpiał po wyprowadzce taty, ale widywał go w weekendy, a nawet częściej. A ona? Miała wrażenie, że przez wszystkie te lata była tylko taką córką nie córką. Na doczepkę. Akceptowaną przez miłość do mamy. Akceptowaną przez miłość do Kaja. Nic więcej. A jeśli chodzi o poczucie obcości? Oczywiście mogła sobie pluć w brodę, że sama do tego doprowadziła. Mogła nie szukać, nie drażnić, zostawić to wszystko w spokoju, pewnie wtedy byłoby po staremu. Nadal chodziliby razem na sajonki i grali w scrabble. Czasem żałowała, ale tylko czasem. I nie dziwiła się Adamowi, że nie był w stanie zaakceptować prawdy. Bo jak zrozumieć to, że najbliższa osoba przez lata ukrywa przed tobą fakt, że kiedyś miała jeszcze jedno dziecko? Że w depresji, pozostawiona bez pomocy, oddała córkę do domu dziecka? Jeśli ktoś przez tyle lat kłamał, to wszystko, co mówił przez te lata, też staje się kłamstwem. Nie dziwię mu się – pomyślała Linka. – W takiej sytuacji zrobiłabym chyba to samo. Na przykład gdyby okazało się, że Adrian ukrywa przede mną coś takiego. No ale to niemożliwe, Adrian jest zupełnie inny, inny niż mama. Ona sama dawno mamie wybaczyła, ale relacje w małżeństwie to zupełnie inna para kaloszy.

– Halinka... – Adam próbował chyba coś powiedzieć, a ona tak się zamyśliła, że przez chwilę zapomniała, gdzie jest.

Spojrzała na niego pytająco. Wreszcie wymamrotał:

– Wszystko u ciebie w porządku?

Też coś! Myślała, że usłyszy coś bardziej od serca. Chciała, żeby na przykład gdzieś ją zaprosił. Tak jak kiedyś, na lody. Razem z Kajem. Mogłaby nawet iść do kina na przygody walecznej pandy. Brakowało jej Adama. Niby była duża, ale tęskniła za nim. Szkoda, że wtedy, w wakacje, nie wyszło. Wydawa-

ło jej się, że on i mama są na dobrej drodze do pogodzenia się, w końcu przyjechał na jej urodziny. Potem okazało się, że chciał po prostu ustalić z mamą pewne kwestie praktyczne. O powrocie do domu nie było mowy.

– Jak nowa szkoła?

Zmroziło ją. Aha, więc będzie to raczej typowa rozmowa o pogodzie.

– Nie wiem, przecież dopiero tam idę – odburknęła. – A co?

– Nie, nic, myślałem...

– Co myślałeś? – Usłyszała we własnym głosie agresywny ton, który nawet ją samą zdziwił.

– Halinka... – znów chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu Kaj, który jeszcze w piżamie wystrzelił ze swojego pokoju i zaraz znalazł się w objęciach taty.

Twarcz Adama rozjaśnił uśmiech, a Lince zrobiło się smutno. Cholernie smutno.

Linka minęła Domy Centrum, gapiąc się po drodze na wystawy. Pojawiła się już kolekcja jesienna. „Beż to nowa czern!” – przeczytała napis udekorowany naklejką z czerwonego liścia. Przez chwilę pomyślała, że manekiny wyglądają, jakby stały w wielkich przeszklonych chłodziarkach, bo temperatura na zewnątrz przekroczyła już chyba trzydzieści stopni, a one z uśmiechem paradowały w swetrzyskach w stylu eko i w miękkich płaszczkach w kolorze wielbłąda. Kto kupuje teraz jesienne ubrania? – pomyślała, ocierając pot z czoła. Wyjęła z torebki mały dezodorant i dyskretnie spryskała się pod pachami. Biała bluzka miała niestety długi rękaw, a obcisłe dzinsy nie pomagały. Gdy skręcała w Chmielną, była już złana potem.

Mimo iż dochodziła dziesiąta, miała wrażenie, że jest wcześniej. Kawiarnie były puste, a sklepy w większości zamknięte.

Lubiła Chmielną, choć podobno nie wypadało tu bywać. Spotykał się tutaj tylko tani lans, cokolwiek to znaczyło.

Nie bardzo rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. W modzie, w lansie, w dziwnych fryzurach. Chmielna zawsze kojarzyła jej się głównie z ciepłymi drożdżówkami w niepozornym okienku, kinem Atlantic, i, ale to już od niedawna, lodami Grycana. Cieszyła się, że będzie codziennie tędy chodzić.

Kiedy po schodach, bo winda nie działała, weszła na ostatnie piętro kamienicy, w której mieściła się jej szkoła, pomyślała, że ten budynek jest zwieńczeniem całej tej trasy. W porównaniu z jej starym gimnazjum, to była zupełnie nowa jakość życia. Ciekawe, jak tam liceum Kaśki – przemknęło jej przez głowę. Kaśka dostała się do renomowanego liceum w śródmieściu, w którym podobno był niezły wyścig szczurów. Ciekawe, jak jej siostra nie siostra sobie poradzi. Znając Kańską determinację, można być prawie pewnym, że świetnie...

Pchnęła oszklone drzwi i weszła do holu obwieszonych pracami plastycznymi uczniów i czarno-białymi fotografiami. Korytarz był pusty, tylko przy zamkniętym dziś sklepiku stały dwie kobiety.

– Przepraszam, gdzie jest rozpoczęcie roku? – Przełknęła ślinę ze zdenerwowania.

– Wszyscy są na mszy – powiedziała ta wyższa, w kolorowych rajstopach w paski. Linka nie wyobrażała sobie, żeby jakaś nauczycielka w jej gimnazjum przyszła tak ubrana do szkoły.

– Na mszy? A to ja nie wiedziałam...

– Nie jest obowiązkowa.

– Ale ja myślałam, że rozpoczęcie jest o dziesiątej...

– Nie, o dziesiątej w kościele. Tutaj zbieracie się o jedenastej trzydzieści. Przecież poszły do was mailem zaproszenia. – Spojrzała na nią podejrzliwie. – Sama je zresztą wysyłałam. Nie dostałaś?

– Nie wiem... Mama odebrała. Powiedziała mi, że na die-
siątą.

– Widzisz, Hanka – zwróciła się do koleżanki – to jest to,
co nazywam wtórnym analfabetyzmem. Dostali, przeczytali,
a i tak nikt nie zrozumiał. Założę się, że zaraz ktoś jeszcze
przyjdzie.

Linka już miała się obrazić, ale w tym momencie otworzyły
się drzwi i wpadł zziębnięty chłopak. Mysi blondyn, w okularach,
niższy od niej chyba o głowę i ze dwa razy szerszy. Na pewno
daleki od lansu z Chmielnej – zachichotała w duchu. Chłopak
miał nie tylko najgrubsze okulary, jakie w życiu widziała, ale
ewidentnie nie przejął się początkiem roku, i chyba w ogóle nie
bardzo przejmował się swoim image'em. Miał na sobie dzinsy
i zwykły, chiński szary T-shirt. Całości dopełniały białe adidasy.

– Przepraszam, rozpoczęcie roku dla pierwszej liceum to
gdzie? – wyrzucił z siebie z prędkością karabinu maszynowego.

– Mówiłam! – zachichotała kolorowa i powtórzyła gadkę
o zaproszeniach.

Chłopak był równie zbity z tropu, co Linka. Stali teraz na-
przeciwko sobie i żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

– A wy oboje do pierwszej liceum, tak? – zlitowała się ta
druga kobieta, ubrana z kolei na czarno.

Synchronicznie skinęli głowami.

– No to idźcie sobie gdzieś na colę, czy jak. Jeśli coś już jest
otwarte.

Przeszli się Nowym Światem i weszli do Starbucksa. Było
otwarte. Linka cieszyła się, że w ogóle wzięła jakieś pieniądze,
inaczej byłoby jej głupio i musiałaby się wykręcać i kłamać.
Choć oczywiście w jej sytuacji finansowej wydawanie dwuna-
stu zeta na kawę latte to durny pomysł. Tym bardziej, że chło-
pak nie był specjalnie sympatyczny. Miał na imię Oskar.

– Do jakiego chodziłeś gimnazjum? – spróbowała jakoś za-
cząć, bo rozmowa ewidentnie się nie kleiła.

– Nie w Warszawie – rzucił, mieszając bez przekonania
małe, czarne espresso bez mleka.

Linka zastanawiała się, czy kupił taką kawę, bo była najtań-
sza, czy naprawdę lubi espresso.

– A gdzie?

– To mała miejscowość, nie będziesz wiedziała. Nad morzem.

– Nad morzem? Super! – poczuła podekscytowanie. – Jak
to jest mieszkać nad morzem? Pewnie tak, jakby człowiek cały
czas był na wakacjach!

– Nie żartuj. Czasem przez cały rok ani razu nie byłem na
plaży.

No tak, od razu wiedziała, że to jakiś dziwak.

– Nasz dom jest dobre dziesięć kilometrów od morza. Tro-
chę za daleko na piechotę, a nie zawsze było z kim się zabrać.
Nie no, żartowałem, w wakacje zwykle jeździliśmy na rowe-
rach się wykąpać, ale wiesz, w domu zawsze były jakieś obo-
wiązki. Do gimnazjum też dojeżdżałem.

– To jak się tu znalazłeś?

– Lepiej nie pytaj. Wyobraź sobie, że nie wszyscy mają tak
poukładane życie jak ty.

Dobre sobie, poukładane życie! Wyraźnie poruszyła w nim
jakiś czuły punkt, choć przecież wcale nie miała takiego za-
miaru. A on nie miał pojęcia, do kogo mówi. Zmrużyła oczy
ze złości.

– No dobra, jak nie, to nie. Wybrałeś klasę artystyczną?

Miała nadzieję, że tak, i że nie będzie musiała codziennie
ogłądać jego obrażonej gęby.

– Nie. Fotograficzną. A ty?

– Ja niestety też.

– No to się nie polubiliśmy – stwierdził lakonicznie, po czym dopił swoją kawę i wstał. – Do zobaczenia za chwilę – rzucił jeszcze przez drzwi.

Co ja mu zrobiłam? – nie miała pojęcia. – Ładnie się zaczyna, jeszcze nie było rozpoczęcia roku, a już zdążyłam się z kimś pokłócić. Poczula, że zaraz się rozplacze, ale zacisnęła zęby, wypila pozostały na dnie papierowego kubka słodki osad, pooglądała sobie jeszcze kawy ziarniste z Gwatemali oraz Mozambiku i wyszła na rozgrzany słońcem Nowy Świat.

Denerwuje mnie ta laska – pomyślał Oskar, przyglądając się Lince z boku. Ta wspólna kawa to była pomyłka. I ten jej wzrok, gdy patrzyła na niego. Pewnie wyobraża sobie, że jest ósmym cudem świata. A on jest dla niej grubym chłopakiem z prowincji. Gdy skończyło się już przemówienie dyrektorki, rozejrzał się dookoła. Ta sala przez następne trzy lata miała być ich domem. Tak naprawdę był to nieduży pokój, może nawet przerobiony z jakiejś pakamery. A więc tak w realu wyglądają szkoły społeczne. Cóż, jakoś go to nie dziwiło. Wielkie halo. Niby to klasy w szkołach społecznych są takie małe, żeby można było się więcej nauczyć, ale wystarczyło spojrzeć na tę kanciapę, żeby wiedzieć, że to tylko reklama. Więcej uczniów by się tu po prostu nie zmieściło.

Trzydzieści osób, z którymi miał teraz spędzać co najmniej połowę życia. Z tego, co się zorientował, aż dziesięć znało się z gimnazjum. To było widać, od razu usiedli razem, w ustalonych wcześniej parach. Oskar był dumny ze swojego zmysłu obserwacji. Od razu wypatrzył dowódcę, wysokiego, opalonego chłopaka o ksywie Azor. Fajne džinsy, czarny T-shirt. Typ macho. Jego przyboczny, nieduży, jasnowłosy chłopak, który oczywiście pierwszy śmiał się z jego żartów, Tomek, zasiadł z nim w ostatniej ławce. Zajęli najlepsze miejsca w klasie.

Oprócz nich, chłopaków było jeszcze dwóch, wyglądali na intelektualistów. Jeden przyszedł z jakąś grubą książką pod pachą, drugi dzierzył w rękę jak berło „Politykę”. Bruno i Kuba, jak się zorientował z wyczytywanej przez wychowawcę listy. Reszta – same laski. Dominowała pulchna blondynka z kręconymi włosami, Zuza. Ładna. A nawet bardzo ładna. Siedziała ze śmieszną rudą Pippi w czerwonych martensach. Oczywiście w przedostatniej ławce, blisko Azora. Przed nimi dwie zbuntowane, jedna z kolczykiem w nosie i przebitym językiem. Imię Amelia kompletnie do niej nie pasowało. Druga – ewidentnie anorektyczka, w dodatku cały czas obgryzała paznokcie albo kręciła na palcach swoje długie, ciemne włosy. Ta też miała niezłe imię – Eurydyka. Czy wszyscy w Warszawie muszą się jakoś dziwnie nazywać? Czy to syndrom dzieci bogatych rodziców? Bliżej przodu siedziały dwie bardziej przeciętne dziewczyny. Niczym się nie wyróżniały, imionami też nie. Mania i Ania. No i byli oni. Nowi. Oprócz niego i tej wkurzającej Linki, która wyraźnie zadzierała nosa, była jeszcze eteryczna blondynka. Inez, następna, której rodzice na chrzcie zaszaletli. Te dwie oczywiście usiadły razem z przodu. A on – no cóż, bez pary. Nie pierwszy raz w życiu i pewnie nie ostatni.

Wychowawcą był polonista, Krzysztof Wilk. Młody, z zarostem. Następny macho. Dziewczyny dosłownie pożerały go wzrokiem. No cóż, niekwestionowany przywódca stada, taki Azor odpadłby w przedbiegach, gdyby doszło między nimi do rywalizacji – pomyślał Oskar. Facet był nie tylko przystojny, ale i miał charyzmę. Kazał do siebie mówić po imieniu. No cóż, następna różnica między stolicą a prowincją.

– Nie będę was już dzisiaj trzymał – powiedział. – Tylko parę słów o gazecie. Oczywiście ruszamy z nią jak najszybciej. Rozumiem, że stary skład nadal jest tym zainteresowany?

Oskar poczuł, że mocniej bije mu serce. Dziennikarstwo. To, co kochał. Jak się zorientował, Wilk prowadził gazetkę z uczniami gimnazjum przez cały poprzedni rok. I to chyba z powodzeniem. W „starym składzie” widać było entuzjazm, gdy tylko wychowawca wspomniał o czasopiśmie. Oczywiście Oskar mógłby ich wiele nauczyć, ale jakie ma szanse przebić się ze swoim doświadczeniem? Czy „stary skład” dopuści go do czegokolwiek? Szczerze w to wątpił.

– Ja myślę, że ten Oskar to ma jakiś kompleks, no wiesz, że jest z małego miasta czy coś – powiedziała Kaśka, gdy Linka streściła jej scenę w Starbucksie.

– Nie żartuj. Jaki znowu kompleks. Chyba że coś sobie ubzdurał.

Linka z rozkoszą polizała loda o smaku irish cream. Siedziały z Kaśką i Natalią w najdroższej lodziarni na świecie. Kulka kosztowała tu prawie dychę, więc zamówiły po jednej i teraz delektowały się nimi w przekonaniu, że zasługują na odrobinę luksusu. Tylko Linka wiedziała, że jej na pewno na to nie stać. Potem się będzie martwić. W końcu nową szkołę trzeba jakoś uczcić.

– Sama mówiłaś, że wygląda jakoś nie tego, i w ogóle – dodała Natalia.

– To nie ma znaczenia. Wygląda jak wygląda, raczej się zdziwiłam, że na rozpoczęcie roku przyszedł w białych adidasach. Ale nie on jeden. Większość ludzi wcale się nie przejęła strojem galowym.

– Ale jak klasa?

– Nie wiem. Chyba w porzo.

– U mnie są sami inteligenci – westchnęła Kaśka. – Tacy przez duże „I”. Z olimpiadami i osiągnięciami. Mali geniusze,

którzy naturalną kolejną rzeczą przemienili się w dużych geniuszy. Chłopaków tylko sześciu – dorzuciła na koniec.

O dziwo, to ona z nich trzech dostała się do najlepszego liceum, znacznie lepszego niż Natalia, chociaż właśnie Natalia w gimnazjum uczyła się najlepiej.

– Ciekawe, dlaczego tylko tyłu?

– Bo wszyscy faceci są w mat-fizie i macie.

– Macie?

– No, mat, klasa matematyczna.

– Jezus Maria, nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

– Nie uwierzyłabyś. To wszystko wygląda dość zabawnie.

W humanistycznej i moim biol-chemie po paru facetów w klasie. Takich raczej niepozornych. Mat-fiz za to największe ciacha. Brady Pitty normalnie. I tak pół na pół z dziewczynami, zresztą dziewczyny też mają całkiem ładne. Ale mat to sami faceci. I większość wygląda jak własni ojcowie. Okulary, czarne teczki, już im nawet rosną brzuszki! – Kaśka zachichotała.

– A Michał? – zaciekała się Linka.

– No, Michał jest oczywiście w mat-fizie!

– Jasne! Uważaj, żeby jakaś laska nie sprzątnęła ci go sprzed nosa.

– U mnie to dopiero jest laska – wtrąciła się Natalia. – Wyobraźcie sobie: metr osiemdziesiąt, naturalny blond do pasa, chuda, ale z takim biustem...

– Push-up. – Kaśka nie miała złudzeń.

– Nie wiem, czy push-up, ale robi wrażenie. Albo by robiła, gdyby nie te wystające stringi i tipsy.

– Skąd wiesz, że to tipsy?

– Pięć centymetrów, strażacki róż...

– Strażacka to jest czerwień – poprawiła Natalię Linka.

– No dobra, niech będzie, że fuksja, i na każdym brylancik. Za to mam superwychowawcę.